

Zdzisław Kosiński

Bez męczeńskiej aureoli : wspomnienia czasu emigracji

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 3, 285-291

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BEZ MĘCZEŃSKIEJ AUREOLI

WSPOMNIENIA CZASU EMIGRACJI

Kiedy z Armią generała Andersa przyjechałem do Anglii w roku 1946 miałem lat 24, stopień bombardiera i skończony pierwszy rok medycyny na Uniwersytecie w Bolonii. Nie były to kwalifikacje imponujące ale uprawniały mnie do starania się o stypendium na skończenie studiów. O dostanie się na medycynę w Anglii nie warto było nawet starać się, bo na wszystkie wolne miejsca priorytet mieli świeżo zdemobilizowani obywatele brytyjscy. Wybrałem więc najbliższą medycynie biologię z chemią i złożyłem podanie o stypendium

Przydziałem stypendiów zajmował się urząd zwany Komitet Edukacji Polaków w Wielkiej Brytanii, bo tak niezgrabnie przemianowano dawne polskie Ministerstwo Edukacji (czasu wojny). Komitet Edukacji dawał stypendia tylko na „studia praktyczne”, a najchętniej na nasz własny, polski Polish University College gdzie można było studiować różne działy inżynierii, a ja nie miałem w tym kierunku żadnych zdolności ani ochoty.

Ostatecznie udało mi się przekonać „Panów z Komitetu”, że dyplom z chemii, z dodatkiem zoologii i botaniki byłby wysoko ceniony w takich praktycznych laboratoriach jak szpitalne, weterynaryjne, farmaceutyczne itp.

Stypendium dostawałem w październiku 1947 roku i zacząłem „życie w cywilu” jako student jednego z college'ów uniwersytetu londyńskiego. Stypendium było skromne (20 funtów miesięcznie) ale przy ówczesnej, częściowej kontroli cen i racjonowaniu niektórych towarów, wystarczyło na opłacenie jednopokojowego mieszkania, wyżywienia i ubrania, a także na kupienie podręczników, zeszytów, itp. Studia nie wydawały się trudne. Co jakiś czas wykładowcy urządzali próbne egzaminy, tzw. „testy”, z których przeważnie dostawałem ocenę „zadowalająco”. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, choć, jak wkrótce okazało się ten optymizm polegał na złej ocenie sytuacji.

Wprawdzie wiedziałem, że na uniwersytetach brytyjskich obowiązują egzaminy pisemne, ale nie spodziewałem się, że egzamin będzie przez to trudniejszy. Egzamin był trudny o tyle, że ilość pytań i ograniczony czas na napisanie odpowiedzi wymagały szybkości nakręconej katarzynki, czyli wykucia na pamięć całego materiału. Tego nie zrobiłem i nikogo nie winię za to, że egzaminu nie zdałem. Oblanie egzaminu oznaczało automatyczne cofnięcie stypendium, więc szybko postarałem się i znalazłem pracę zwykłego robotnika w dużej fabryce lodów, z zarobkiem prawie równym straconemu stypendium. Praca nie była ciężka tak, że po powrocie do domu mogłem bez trudu poświęcić kilka godzin na wkuwanie chemii, zoologii i botaniki.

Przez następnych 10 miesięcy prowadziłem bardzo monotony tryb życia: 9 godzin pracy w fabryce a po powrocie do domu, około 6-tej, pięć godzin wkuwania. Na weekendy odpadały tylko godziny pracy zarobkowej, ale nigdy nie pofolgowałem sobie w upartej powtórce, porządkowaniu i upychaniu w głowie materiału egzaminacyjnego. Oczywiście egzamin zdałem, w lipcu 1949 r. Stypendium przywrócono mi bez zwłoki i zacząłem dwuletni kurs dyplomowy. Tym razem, nauczony gorzkim doświadczeniem, zacząłem uczyć się metodycznie od pierwszego dnia i końcowy egzamin zdałem w czerwcu 1951 roku. Z dyplomem B.Sc. (*Bachelor of Science*) zacząłem szukać pracy ale okazało się, że nawet stopień naukowy zdobyty na londyńskim uniwersytecie nie gwarantuje pracy cudzoziemcowi. Dopiero po kilku tygodniach przyjęto mnie na stanowisko technika w laboratorium patologicznym jednego ze szpitali londyńskich. Trafiałem szczęśliwie, bo związek zawodowy techników szpitalnych uznał mój dyplom za równoważny ich własnemu egzaminowi na członka związku, co było bardzo ważne bo bez ich zgody nie miałbym prawa wykonywania swej pracy (nie wiedziałem wtedy, że doświadczam na własnej skórze pierwszych, i słabych jeszcze, nacisków rosnącej potęgi związków zawodowych). Praca w laboratorium wydawała mi się ciekawa. Płaca była niewielka ale i tak wyższa o 20% niż moje dotychczasowe stypendium, a zespół pracowników bez zarzutu. Nasza grupa liczyła 15 osób i mieściła się w jednym dużym

i dobrze wyposażonym laboratorium. Na ogół wszyscy byli nawzajem sobie pomocni i pracowiliśmy w najlepszej komitywie.

Fakt, że znalazłem płatną pracę wpłynął na moje samopoczucie, dotychczas bowiem dostawałem pieniądze jak daninę, zapomogę (jalmużnę prawie) z dobrej woli ofiarodawcy. Teraz wypłacano mi pieniądze zarobione, które mi się należały. Wreszcie osiągnąłem status przeciętnego, pełnoletniego obywatela, który sam decyduje o tym co, gdzie i jak chce robić. Najoczywieściej moja sytuacja *vis à vis* reszty społeczeństwa normalizowała się stopniowo i wkrótce miała osiągnąć następne stadium, mianowicie mój ożenek z panną Zofią Rymarską, którą poznałem w pierwszym dniu rozpoczęcia studiów w 1947 roku. W cztery lata potem nasza sytuacja polepszyła się o tyle, że mieliśmy studia za sobą, jak to mówią „z głowy” i przez to więcej czasu dla siebie, a nasze wspólne zarobki pozwalały na wynajęcie dwupokojowego mieszkania. Ślub i przeprowadzka nastąpiły szybko po sobie, w tym samym dniu, 5-go stycznia 1952 roku. W parę tygodni potem zaprosiliśmy na podwieczorek naszych pierwszych gości. Zaczęliśmy prowadzić tzw. życie towarzyskie.

Mając więcej wolnego czasu korzystaliśmy też z dużych możliwości kulturowo-rozrywkowych Londynu: świetne teatry, słynna opera, balet i akustycznie doskonale sale koncertowe nęciły ciekawymi programami w interpretacji sławnych wykonawców. Nie zawsze jednak nasze szczupłe finanse pozwalały na zaspokojenie wszystkich naszych pragnień. W takich wypadkach wybieraliśmy się do jakiegoś muzeum lub galerii obrazów, które ofiarowywały zwiedzającym wstęp wolny na oglądanie swych bogatych zbiorów. Najczęściej jednak spędzaliśmy wieczory w domu na czytaniu książek lub słuchaniu radia; jak większość znajomych Polaków staraliśmy się zaoszczędzić tyle, by móc kupić mieszkanie (ewentualnie dom) na własność i umeblować je według własnego gustu i urządzić się w nim według własnych potrzeb i uznania. W półtora roku po ślubie udało się nam ten cel osiągnąć.

Niestety, normalizacja i stabilizacja naszego życia miała, dla mnie osobiście, tę niemiłą konsekwencję, że moja praca w szpitalu nie dawała sposobności do nauczania się czegoś nowego i zdobycia większych kwalifikacji. Robiąc dzień w dzień te same standardowe analizy zauważyłem, że zaczynam się nudzić, co było znakiem ostrzegawczym, aby rozglądać się za inną pracą.

Wiedziałem, że istnieją laboratoria uniwersyteckie, subwencjonowane przez Instytut Medycyny Doświadczalnej (*Medical Research Council*), gdzie przeprowadza się ciekawe badania z dziedziny biochemii. Planowałem sobie, że praca w takim laboratorium będzie nie tylko ciekawa, ale może też dać mi szansę zdobycia wyższego dyplomu uniwersyteckiego. Wkrótce nadarzyła się taka okazja w laboratorium biofizyki przy londyńskim *King's College*, gdzie głównym przedmiotem studiów było DNA (kwasy nukleinowe, czyli biologiczne makromolekuły wchodzące w skład chromosomów). Z tego laboratorium, we wczesnych latach 50. grupa Dr. Wilkins'a ogłosiła pierwsze wyniki analizy krystalograficznej kwasów nukleinowych. Wyniki te, uzupełnione wnioskami teoretycznymi przedstawionymi przez Dra. Crick'a i Watson'a (z uniwersytetu w Cambridge) doprowadziły do odkrycia struktury DNA i przyniosły całej trójce naukowców nagrodę Nobla w 1962 roku. W międzyczasie jednak wszyscy zabrali się do sprawdzania wyników (własnych i cudzych) używając nowych i coraz bardziej precyzyjnych metod analizy.

Do takich należał bliski współpracownik Dr. Wilkins'a, Dr. Geoffrey Brown, któremu zostałem przydzielony do pracy. Pod jego też kierunkiem miałem równocześnie przygotowywać tezę dyplomu M.Sc. (*Master of Science*). Nasza współpraca układała się jak najlepiej tak, że w ciągu 3 lat zebraliśmy dość materiału na ogłoszenie wyników w czasopiśmie naukowym, a w obszernej formie w tezie przedstawionej przeze mnie do dyplomu M.Sc. Teza została przyjęta i po egzaminie kwalifikującym przyznano mi ten nowy stopień.

W niespełna rok potem przyznano mi pełne prawa pracownika *Medical Research Council* z równoczesną podwyżką w poborach, więc znalazłszy się w tak korzystnej finansowo sytuacji zdecydowałem, że nie będę szukał lepszych warunków gdzie indziej. Prawdę mówiąc nie miałoby to wielkiego sensu, gdyż po zakończeniu prac nad analizą chemiczną DNA nasza grupa zaczęła równie ciekawe badania nad rodzajem protein, które funkcjonują jako receptory i przekaźniki bodźców w komórkach nerwowych. Studia te prowadziliśmy ze zmiennym powodzeniem, aż do roku 1982, kiedy osiągnąwszy wiek lat sześćdziesięciu przeszedłem na emeryturę. Ponieważ jednak nie wyobrażałem sobie życia w kompletnym bezrobociu więc postarałem się o pracę na pół etatu w szpitalu św. Bartłomieja w Londynie, gdzie preparowałem (do celów diagnostycznych) wyciągi hormonów z przysadki mózgowej. W trzecim roku pracy dostałem nagle zawału serca, ale

szczęśliwie zdarzyło się to podczas pracy więc miałem na miejscu doskonałą, fachową opiekę, a następnie operację na *coronary by-pass*. Ten wypadek przyspieszył mą decyzję faktycznego przejścia na emeryturę co nastąpiło w 1985 r. Ostatecznie przekazaliśmy mieszkanie londyńskie naszej córce, a sami przenieśliśmy się na wieś do Devonu, gdzie do dziś mieszkamy.

Tak wygląda historia mego życia na emigracji z punktu widzenia codziennych wydarzeń, dobrych i złych, których bilans określiłbym jako średnio pomyślny jeśli chodzi o stronę czysto materialną. Nie-materialny aspekt rzeczy, czyli wszystkie idealizmy i duchowe tęsknoty interesowały mnie bardzo mało. Sprawami polskimi interesowałem się o tyle, że prenumerowaliśmy londyński „Dziennik Polski” i „Wiadomości”, a później, począwszy od lat 60. „Twórczość”. Stronniczość tych trzech publikacji nie przeszkadzała mi wcale, bo czytałem je w tym celu aby się dowiedzieć co nowego i ciekawego dzieje się w literaturze, teatrze, muzyce i sztukach pięknych. Poza tym, dla równowagi, mieliśmy dwie gazety angielskie: konserwatywny „Daily Telegraph” na dni powszednie i liberalny „The Observer” na niedziele. Dziś już nie pamiętam czy z polskiej czy angielskiej gazety dowiedzieliśmy się o wielkim sukcesie literackim Jerzego Pietrkiewicza, poety i emigranta polskiego, który napisał po angielsku powieść i znalazł wydawcę, co więcej, także czytelników i to zarówno wśród szerokiej publiczności, jak i wśród zawodowych krytyków literackich. Obydwie grupy uważały że *The knotted cord* Pietrkiewicza jest powieścią tematycznie fascynującą, a stylistycznie tak doskonałą, że z miejsca przywodzi na myśl postać innego Polaka, emigranta i słynnego powieściopisarza angielskiego Josepha Conrada. Następane dwie powieści Pietrkiewicza spotkały się z dobrym odzewem krytyki ale ukazanie się czwartej, p.t. *Isolation* nie zachęciło nikogo ze stałych współpracowników „Wiadomości” do napisania krytyki. Oczekawszy dwa tygodnie napisałem list do redakcji wyrażający zdziwienie, że nikt z zawodowych ludzi pióra nie zechciał nawet powiadomić czytelników o ukazaniu się nowej książki Pietrkiewicza i że wobec tego robię to ja, zwykły czytelnik. Reszta listu zawierała krótkie streszczenie i przychylnie omówienie powieści. Tę właśnie, istotną część mego listu, wydrukował redaktor Grydzewski w swych „Wiadomościach” p.t. „Czwarta powieść Jerzego Pietrkiewicza”. Recenzja ukazała się w numerze 714-tym z 6-go grudnia 1959 roku i chociaż w druku zajęła nie więcej niż ćwierć strony „Wiadomości” to dla mnie miała znaczenie pierwszorzędne: była dowodem, że „nie święci garnki lepią” i że ja też potrafię napisać artykuł do tygodnika literackiego.

W jakiś czas potem dostałem od Redaktora (tytułem honorarium) czek na £4 i tak się ucieszyłem, że zrobiłem sobie z niego fotokopię zanim czek wpłaciłem na swoje konto. Te 4 funty miały tam czekać aż wpadnę na pomysł kupienia czegoś, co godnie upamiętni mój debiut literacki. Okazja nadarzyła się dopiero w rok potem, kiedy dowiedziałem się, że w maju 1961 r. Jury Wiadomości ogłosi swój wybór najlepszej książki wydanej na Emigracji w roku 1960. Wiedziałem z poprzednich lat, że po ogłoszeniu swego wyboru Jury zostaje niezmiennie zapraszane przez red. Grydzewskiego na wytworną kolację, której menu układa zawsze sam Pan Redaktor, znany smakosz i koneser wyborowych win. Wtedy poczułem nagle jak te wszystkie fakty sprzęgły się i zabłysła mi myśl: już wiem! — wystawię czek na £4 i pošlę go do Redaktora z wyjaśniającym listem skąd ta cyfra i z prośbą, aby zakończył kolację dla jurorów postawieniem butelki koniaku i wezwaniem swych gości by wypili na cześć mego debiutu w „Wiadomościach”.

Byłem pewien, że tak zrobił, tym niemniej bardzo się ucieszyłem, gdy w dwa dni po kolacji dostałem eleganckie zawiadomienie pocztą: był to prostokąt dwukolorowego kartonu (ok. 20 cm x 14 cm) z wydrukowanym „Menu” kolacji: u góry, ręką Redaktora, pozdrowienia i podpis, a poniżej podpisy ośmiu członków Jury. Wzruszył mnie ten piękny gest i nieraz, wdzięcznym sercem, wspominam wspaniałego Redaktora, który bez ceregieli przyjął pieniądze i zmieniwszy tylko butelkę koniaku na „magnum” szampana (co z miejsca zmieniło j a k o ś ć toastu) wprowadził mnie do grona swych współpracowników.

Aproba Dr. Grydzewskiego zachęciła mnie do dalszych prób. Cokolwiek ciekawego przeczytałem, zobaczyłem lub usłyszałem stawało się tematem kolejnych recenzji, sprawozdania lub eseju. Nie ukazało się tego wiele, bo każdy tekst przechodził długi okres łączenia wybranego tematu z oporną formą zanim zdecydowałem się wysłać go do Redakcji. Muszę przyznać, że ta metoda samokrytyki dawała dobre rezultaty bo nigdy nie zdarzyło się aby Redaktor zwrócił mi maszynopis. Moja współpraca z „Wiadomościami” układała się więc jak najlepiej zarówno za czasów Grydzewskiego jak i za jego następcy Michała Chmielowca i za ostatniego redaktora, pani Stefanii Kossowskiej, aż do zamknięcia pisma w 1981 roku.

W końcowym rachunku cała moja, przeszło 20 letnia, „twórczość literacka” osiągnęła cyfrę zaledwie 30 pozycji wydrukowanych w „Wiadomościach”. Co najmniej 80% tego stanowiły recenzje z książek lub szkice krytyczne obejmujące całość twórczości poszczególnych pisarzy (Proust, Gombrowicz, Hlasko). Zupełnie wyjątkowo wystąpiłem raz jako sprawozdawca z wystawy malarzy polskich w Londynie (w 1970 r.) i raz jako autor wiersza, elegii wydrukowanej w roku 1960.

Mówiąc o wystąpieniach muszę wspomnieć moje dwa wystąpienia publiczne w roli prelegenta. Pierwszy odczyt (o Gombrowiczu) wygłosiłem na zaproszenie klubu literackiego „Kontynenty”. Zebranie odbyło się w miłej atmosferze „Kółka Miłośników Literatury”, którzy przyszli aby dowiedzieć się czegoś ciekawego o tym wyzywająco oryginalnym pisarzu. Dlatego, rozpoczynając pogadankę poprosiłem słuchaczy, aby się nie krępowali okazaniem amatorskiego zainteresowania przez stawianie wścibskich pytań, bo w odpowiedzi nie mogę oferować im nic lepszego niż, równie amatorską, interpretację utworów Gombrowicza. Wobec tego, po skończonej prelekcji i po krótkiej, przyjaznej dyskusji rozeszliśmy się do domów.

Druga pogadanka była poważniejszą sprawą bo chodziło o to, aby nagrać dla Radia Free Europe kilkuminutową audycję z omówieniem pierwszego, polskiego przekładu powieści James Joyce’a *Ulysses*. Ten przekład zrobiony przez Macieja Słomczyńskiego, znałem już od kilku miesięcy i nawet zdażyłem napisać dłuższą i przychylną recenzję o nim (i o angielskim oryginale) do „Wiadomości” (numer 12, z lipca 1970). Przyciąłem go więc do wymaganej długości i wyszedł z tego dość zgrabny wizerunek Tlumacza, choć muszę przyznać, że wolałem swój pierwszy portret Słomczyńskiego (ten z „Wiadomości”) bo był robiony w pełnym świetle angielskiego oryginału. Podobno audycja została nadana do Polski, ale Radio Free Europe nigdy już potem nie zapraszało mnie do współpracy. Widocznie pogadanka nie przyniosła odzewu od słuchaczy.

Moje zainteresowania literackie i naukowe nie zostawiały mi wiele wolnego czasu i z tego powodu nie należałem do organizacji polonijnych. To jednak nie przeszkadzało, że popierałem niektóre, gdy znalazły się w kłopotach finansowych i ogłaszały publicznie apel o pomoc. Do takich należał POSK, Teatr i Macierz Szkolna. Specjalne uznanie miałem dla Macierzy Szkolnej za jej pomoc w prowadzeniu „Sobotnich Szkół Polskich”, dzięki którym polscy emigranci w Wielkiej Brytanii mogli przeciwdziałać stopniowemu angielszczeniu swych dzieci w miejscowych szkołach. Szkoły sobotnie dawały rodzicom gwarancję, że przez cztery godziny, każdej soboty ich dzieci są pod należytą opieką dorosłych, a równocześnie przebywają w towarzystwie swych rówieśników, ucząc się lub bawiąc i porozumiewają się ze sobą tylko w języku polskim. Dzieci czuły się dobrze w szkole sobotniej bo nikogo tu nie dziwiły, ani nie śmieszyły ich polskie imiona i nazwiska a rodzinny język był tu przedmiotem nauki równie poważnej i trudnej jak język angielski w miejscowej szkole powszechnej. Dodatkową zachętą do nauki polskiego na poziomie gimnazjum było to, że brytyjskie ministerstwo oświaty uznało język polski za dodatkowy język obcy, który można było zdawać na maturze małej i dużej. W ten sposób polski uczeń zyskiwał znaczną ilość punktów i w końcowej klasyfikacji zwiększał znacznie swe szanse dostania się na uniwersytet lub do wyższej szkoły zawodowej.

Znam tę sprawę dobrze z własnego domowego doświadczenia, bo zaczęliśmy razem z żoną uczyć naszą córkę czytania i pisania po polsku, ale po kilku nieudanych próbach zapisaliśmy Klarę do Polskiej Szkoły na Devon Rd. w północnym Londynie, gdzie okazała się pilną i zdolną uczennicą i pozdawała pięknie wszystkie egzaminy z języka polskiego, włącznie z dużą maturą.

W ogóle nasza szkoła na Devonii miała dobre wyniki egzaminów, ale nie uważała tego za jedyny swój cel; dbała o to, aby dzieci poznawały się bliżej i zaprzyjaźniały ze sobą. Okazji ku temu było dużo, bo na Devonii wszyscy nawzajem się znali i pomagali. Najstarszym polskim „rezydentem” był KOŚCIÓŁ, bo zbudowany jeszcze w latach 20. jako pierwszy polski kościół parafialny w Londynie, a zaraz po zakończeniu wojny w 1945 roku stał się naturalnym ośrodkiem życia tych polskich emigrantów, którzy osiedlili się w północnym Londynie. Kilka kroków w bok od kościoła stał duży, piętrowy budynek parafialny, gdzie mieściło się biuro parafii, mieszkanie ks. Proboszcza, pokoje gościnne dla przyjezdnych księży i kilka pokoiów oddanych Szkole do użytku jako klasy. Znaczną część parteru zajmowała wielka, podłużna sala, zdolna pomieścić co najmniej setkę ludzi, która świetnie nadawała się do użytku jako widownia teatralna lub kinowa i tu zbierała się cała Szkoła na patriotyczne akademie z okazji świąt narodowych, na zakończenie roku szkolnego i na przeróżne imprezy dochodowe, jak bazar, licytacja, loteria fantowa itp. Zebrane pieniądze wysyłałami zawsze na ten sam adres do Szkoły dla Niewidomych Dzieci w Laskach pod Warsza-

wą. Wszystkie te aktywności i zabawy pozwalały dzieciom na dłuższe spotkania, ułatwiały wzajemne poznanie i dawały okazję do zawarcia przyjaźni. Nasza szkoła emigracyjna spełniała więc, oprócz funkcji oświatowej bardzo ważną funkcję wychowania obywatelskiego, czyli po prostu współżycia z ludźmi, a tego z książki nauczyć się nie można. Ale można i należy zdobywać tę umiejętność przez naśladowanie innych, przeważnie starszych, jak np. rodziców.

Rodzice na Devonii dawali pod tym względem jak najlepszy przykład swoim dzieciom w pracy społecznej. Przed każdą imprezą matki szyły kostiumy a ojcowie sprawdzali stan sceny teatralnej, świateł, dekoracji itp., a w czasie przedstawienia obsługiwali maszynę produkującą efekty świetlne i dźwiękowe. Po spektaklu rodzice zapraszali widzów i wykonawców na podwieczorek, na którym podawano ciasta i torty matczynych wypieków, podczas gdy ojcowie dopielali kubki herbatą lub lemoniadą. Na Devonii nigdy chyba nie zabrakło chętnych do pomocy!

Może właśnie dlatego, gdy pewnej soboty zachorował nagle nauczyciel w jednej z młodszych klas i kierowniczka poprosiła mnie o przejęcie jego funkcji, nie mogłem odmówić. Dostałem klasę dwanaściorga dzieci (chłopców i dziewczynek) w wieku lat dziewięciu. Lekcje zaczęliśmy od dyktanda i czytania na głos. Obydwie próby zgodnie wskazały, że poziom znajomości języka polskiego jest bardzo nierówny wśród moich uczniów. Postanowiłem, że przy najbliższej okazji zawiadomię o tym wyniku zainteresowanych rodziców, a na razie powiedziałem dzieciom, że oprócz lekcji polskiego będziemy mieli historię i geografję Polski i że wszystkie trzy przedmioty są bardzo ważne, specjalnie dla tych, co chcą do Polski pojechać z rodzicami na wakacje. Z miejsca zrobiłem lekcję historii i geografii, aby się zorientować który przedmiot jest najciekawszy dla moich uczniów i okazało się, że geografia z dodatkiem geologii, przyrody, sportów itp. Dowód tej próby był oczywisty: należy zainteresować dzieci przedmiotem... ale jak? W wypadku języka polskiego sprawa rozwiązała się samorzutnie — choć przez zwykły przypadek. Mianowicie, dostałem od dawnego Kierownika Szkoły „Szopkę Krakowską”, którą on sam zrobił (przy pomocy swych uczniów) i kilka lat temu dał przedstawienie polskich jasełek na zakończenie pierwszego trymestru (w połowie grudnia). Jasełka cieszyły się wielkim powodzeniem i kierownik uważał, że dorosło już następne pokolenie potencjalnych widzów.

Moi uczniowie zaaprobowali ten pomysł i zabrali się do odrestaurowania szopki i do uzupełnienia garderoby kukielek, w czym pomagali dzielnie rodzice i starsze rodzeństwo. W międzyczasie, aktorzy ćwiczyli swe podwójne role ożywienia kukielek własnymi palcami i własnym głosem. Aktorów wybrałem tylko pięciu, tych z najlepszą dykcją i z talentem komicznym, więc na pozostałą siódemkę uczniów spadły skromniejsze funkcje muzykantów, śpiewaków, malarzy afiszów i programów itp. zakulisowych pomocników. Ale wszyscy byli przekonani o ważności swoich funkcji, w czym ich utwierdzałem, chwalać ich wyczyny artystyczne. Po kilku tygodniach „generalnych” prób zaprosiliśmy całą Szkołę (razem z rodzicami) w ostatnią sobotę pierwszego trymestru i rzecz wypadła tak dobrze, że ktoś z Koła Rodzicielskiego zaprosił cały zespół do powtórzenia jasełek na „Oplatku” Koła Rodzicielskiego w styczniu.

Sukces jasełek pomógł bardzo moim młodocianym aktorom w przezwyciężeniu tremy i nabraniu odwagi do dalszych występów, ale już we własnej osobie. Nie zabrakło więc ochotnych aktorów do wystąpienia w inscenizacji „Iwowskiej” ballady o „Nieszczęśliwej miłości panny Franciszki” i do krótkiej dwuaktówki patriotycznej na zakończenie roku szkolnego.

Wydaje mi się, że przez poznanie teatru od praktycznej, aktorskiej strony, moi uczniowie przekonali się również, że ich język ojczysty nie jest aż tak uroczyście poważny, jak im się wydawało. Dotychczas bowiem słyszeli tylko jeden, specjalny gatunek polskiego, tzn. ten jakim przemawiały trzy główne Autorytety: Kościół, Dom rodzicielski i Szkoła polska. Wszystkie trzy mówiły najczęściej o obowiązkach i przypominały dzieciom, że zaniedbanie tych obowiązków grozi karą. Teraz, na próbach teatralnych, usłyszały, że język polski jest nie tylko językiem przykazałów i zakazów lecz bywa również, językiem zabawy, czasem nawet zabawy szalonej, bez reguł i z błazeńskimi wyglupami, jak to robią słynni komicy w swoich programach telewizyjnych. Nie jest więc język polski gorszy pod żadnym względem od angielskiego.

Nie chcę sugerować, że właśnie w ten sposób moi uczniowie odkryli równowartość polskiego z angielskim, ale próbuję wyjaśnić dlaczego zmieniło się ich nastawienie do języka polskiego. Po trzech latach nauki zaczęły znikać okropne błędy ortograficzne, stylistyczne i znaczeniowe z wypracowań domowych. Nauka polskiego zaczęła być traktowana poważnie. Oczywiście jest zupełnie możliwe, że te zmiany nastąpiły w wyniku presji Rodziców, którzy po prostu kazali się uczyć

i pilnowali aby zadanie domowe zostało napisane i oddane do oceny. Jeśli rzeczywiście tak się rzeczy miały to gotów jestem przyznać wyższość rodzicielskiej dyscyplinie nad każdym innym systemem wychowania. Zresztą sam byłem wychowany w takim systemie za dawnych przedwojennych czasów i nie uważam się z tego powodu za poszkodowanego ani za nieszczęśliwego. Oczywiście byłem bardzo zadowolony z postępów moich uczniów i miałem nadzieję, że w ciągu następnych dwóch lat doprowadzę ich do małej matury, ale niestety Kierowniczką miała inne plany i w międzyczasie wyznaczyła mi przygotowanie innej, starszej klasy do dużej matury. Wiedziałem, że decyzja Kierowniczki jest pewnego rodzaju awansem, więc nie wypadało mi nic innego zrobić jak przyjąć nowe zadanie z podziękowaniem.

Przygotowanie do dużej matury było kursem dwuletnim, który miał umożliwić uczniom zdobyć bogatszego słownictwa i operowania nim w sposób gramatycznie bezbłędny i stylistycznie gładki. Wzorem do naśladowania były tu utwory literatury polskiej, wybrane przez egzaminatorów jako lektura obowiązkowa. Pełna lista obejmowała 8 książek należących do czterech różnych gatunków literackich: 1) Poezja, 2) Powieść, 3) Nowela, 4) Dramat (sztuka teatralna). Decyzja należała do prowadzącego kurs więc wybrałem: 1) *Pana Tadeusza* Mickiewicza, 2) *Listy Nikodema Dobraczyńskiego*, 3) *Laternika* i *Wspomnienie z Maripozy* Sienkiewicza i 4) *Ptaka Szaniawskiego*. W wyborze lektury brałem pod uwagę ładunek intelektualny i emocjonalny każdego utworu i pilnowałem aby nie przekraczał zdolności 15-letnich podrostków i dlatego np. z działu poezji wybrałem raczej *Pana Tadeusza* niż *Treny* Kochanowskiego. Tym niemniej *Pan Tadeusz* w otoczeniu reprezentantów innych gatunków literackich, okazał się lekturą lingwistycznie najtrudniejszą. Nie ulegało więc wątpliwości, że nie mogę oczekiwać od moich uczniów samodzielnego przeczytania poematu i aby dać im szansę powodzenia musimy go czytać razem na lekcjach.

Odbywało się to w ten sposób, że po przeczytaniu na głos kilkunastu wierszy (linijek) przystawiałem na chwilę i dawałem uczniom krótszą i łatwiejszą parafrazę przeczytanego odcinka, równocześnie wyjaśniając np. dlaczego polski poeta, piszący po polsku, mówi o Litwie „Ojczyzna moja”. Otóż dla tego samego powodu, dla którego kilku znanych pisarzy piszących po angielsku nie nazwałoby nigdy Anglii „Ojczyzną”, bo byli Szkotem, Walijszczykiem lub Irlandczykiem! Po takim wyjaśnieniu faktycznie dochodziły rozważania co do głębszych tajemnic tekstu: dlaczego np. Mickiewicz opowiada historię jakiegoś młodego człowieka (Tadeusza) i opowiada ją wierszem. Otóż chodzi, o to, że Mickiewicz pamięta takich ludzi jak Tadeusz i innych, o których pisze. Pamięta ich wszystkich ze swych młodych lat, gdy podobnie jak Tadeusz, przyjeżdżali do domu na wakacje. Teraz, w roku 1832–1834, mieszkając na wygnaniu w Paryżu, tęskni za Litwą i za tymi ludźmi, więc myśli o nich ze wzruszeniem. A u poety wzruszenie zawsze układa mu słowa w regularny rytm i łączy je rymem i puszcza je, jak tancerzy, parami. Ten taneczny ruch słów nazywa się Poezją, która pochodzi wprost z tęsknoty za Ojczyzną i jest wewnętrznym, ukrytym motorem akcji *Pana Tadeusza*. Ale widocznymi, ruchomymi częściami poematu są trzy wątki: 1) wątek miłosny, czyli romans młodego, niespełna 20-letniego Tadeusza z dojrzałą kobietą, Telimeną, a potem jego miłość do młodzianki Zosi, 2) wątek społeczny, czyli historia zatargu między dwoma rodzinami szlacheckimi, Horeszków i Sopliców, której punktem kulminacyjnym jest zajazd na Soplicowo, 3) wątek polityczny, czyli sytuacja na Litwie i w samym Soplicowie na kilka miesięcy przed wyprawą Napoleona na Moskwę, na wiosnę 1812 r. Stąd też tytuł poematu jest potrójny: *Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie — Historia szlachecka z r. 1811 i 1812, w dwunastu księgach wierszem*.

Przy czytaniu *Pana Tadeusza* przypomniałem swoim uczniom szczegóły historii politycznej sięgając aż do rozbiorów Polski. Poza tym każdy uczeń dostał krótkie szkice: 1) charakterystyka głównych postaci w *P.T.*, 2) Pierwiastek epicki i liryczny w *P.T.*, 3) Opisy przyrody w *P.T.*, jako „zwierciadło” emocji i poczynań ludzkich w *P.T.* Wszystkie te „pomoce naukowe” zredagowałem następnie w języku angielskim dla ułatwienia powtórki przedegzaminacyjnej.

Tu należy zaznaczyć, że pytania egzaminacyjne stawiano w języku angielskim i oczekiwano odpowiedzi w tym samym języku. Uczeń mógł, jeśli wołał, odpowiadać w języku polskim, ale nie mógł oczekiwać, że zyska w ten sposób dodatkowe punkty. (Żaden z moich uczniów nie miałby ochoty na taką próbę.)

Pozostałe trzy obowiązkowe lektury nie wymagały dłuższych analiz literackich (ani żadnych innych) więc moi uczniowie nie mieli zbyt wielkich trudności w odkryciu pobożnych, dobrych chęci Dobraczyńskiego, uprzejmie pomocnego symbolizmu u Szaniawskiego i pozytywistycznie

współczującego serca u Sienkiewicza. Na pewno też oddali dobrze zrobione tłumaczenie z języka polskiego na angielski (i odwrotnie) bo wszyscy ośmioro zdali egzamin.

Wyniki ogłoszono z końcem sierpnia, a miesiąc potem rozpoczęliśmy drugi, dwuletni kurs maturalny. Ten kurs i następane dwa lata były moimi końcowymi latami w szkole, bo w 1986 przenieśliśmy się na stałe do Devonu.

To nie przeszkadzało, że przy okazji każdego wyjazdu do Londynu odwiedzałem mych znajomych na Devonii, a z niektórymi utrzymuję do dziś luźny kontakt listowy. Poza tym nasza córka (a równocześnie i moja uczennica z kursu maturalnego na Devonii) spotyka się kilka razy na rok ze swymi dwoma koleżankami ze Szkoły Polskiej i przez tę znajomość też mam dodatkowe wiadomości jak się powiodło moim uczniom w życiu.

Nasza córka i jej dwie koleżanki ukończyły uniwersytet, wyszły za mąż i pracują na dobrze płatnych stanowiskach w bankach londyńskich. Co do reszty „Devończyków” to jest między nimi: doktor medycyny, mechanik samochodowy, subiekt (w bardzo eleganckim magazynie) nauczyciel, dziennikarz, zawodowy sportowiec (siatkarz) i policjant. Najciekawszą karierę zrobili jednak dwaj bracia, którzy z dwoma wynajętymi ciężarówkami uruchomili przewóz towarów między Polską a Anglią i dziś mają świetnie funkcjonującą firmę transportową. Ci dwaj młodzi ludzie są jedynym znanym mi przykładem kariery życiowej na wzór amerykański, gdyż nie ryzykując większego kapitału i pracując po kilkanaście godzin na dobę, mogli oferować swym klientom szybszy i tańszy przewóz towarów niż ktokolwiek inny. Ich koledzy podziwiali pracowitość i spryt dwóch braci, ale nikt nie spróbował nawet ich naśladować.

Większość, po zdaniu matury, dostała się na uniwersytet albo do szkół zawodowych i z dyplomem w rękę znaleźli pręcej czy później odpowiednią pracę. Do tej grupy należała nasza córka Klara, która jak już wspomniałem dostała pracę w banku i bardzo sobie ją chwaliła, specjalnie ze względu na zarobek.

Wszyscy ci młodzi ludzie znali się ze sobą doskonale, bardzo często jeszcze z dawnych harscerskich zbiorów na Devonii, więc mając teraz czas wolny od nauki i presji egzaminów zaczęli znów spotykać się, nie w żadnym specjalnym celu organizacyjnym czy patriotycznym ale najzwyczajniej koleżeńskim.

Spotkania odbywały się nieregularnie na spontaniczne zaproszenie (telefoniczne) kogoś kto miał ochotę pogadać i wypić w towarzystwie przyjaciół. Skład ilościowy i jakościowy zebranych nigdy nie był znany dokładnie, bo zaproszeni mogli przyjść w towarzystwie kolegi czy koleżanki, co dawało okazję do nawiązania ciekawych znajomości z osobami o podobnych zainteresowaniach. W wypadku naszej Klary i Lucy Pitman zainteresowanie było jedno i to samo, mianowicie teatr, co więcej, nie tylko od strony widowni ale przede wszystkim od strony kulisów. Marzeniem Lucy i Klary było wystawić samodzielnie cykl nowoczesnych sztuk z repertuaru tzw. „Teatru Absurdu” z Beckettem i Ionesco jako głównymi przedstawicielami. Dowiedziawszy się o tym od Klary zaproponowałem nieśmiało Gombrowicza jako polskiego reprezentanta a jego *Ślub* jako najlepszą sztukę do wystawienia. Projekt został przyjęty i cała seria została wystawiona z wielkim powodzeniem przez zespół finansowany przez Lucy i Klarę. *Ślub* Gombrowicza był dodatkowo potraktowany z wielkim szacunkiem gdyż jako angielska prapremiera został nagrany na taśmę kinematograficzną i zdeponowany w archiwum teatralnym w 1994 r.

Zestawienie *Ślubu* z obiektem archiwalnym zabrzmiało dziwacznie, ale dzięki temu uzmysłowiłem sobie nagle jak szybko czas mija i że za dwa lata mogę być jubilatem jeślibym zechciał obchodzić uroczystości 50. rocznicę pobytu na emigracji. Oczywiście do tego nie doszło gdyż w ciągu tych lat traciłem powoli i niepostrzeżenie status emigranta politycznego.

Pierwszym i decydującym krokiem było przyjęcie obywatelstwa brytyjskiego i zrzeczenie się polskiego, co klasyfikowało mnie jako odszczepieńca, lub gorzej, zdrajcę. Muszę przyznać, że nigdy tak źle o sobie nie myślałem, prawdopodobnie dlatego, że wszyscy koledzy i znajomi, którzy wybierali się z wizytą do rodzin w Kraju też się tak politycznie zakamuflowali, aby ułatwić sobie wjazd i wyjazd z Polski. W ogóle ruch turystyczny między Polską a Anglią kwitnie jak chyba nigdy przedtem, a dzięki młodemu, powojennemu pokoleniu noszenie męczeńskich aureoli wyszło z mody.

Październik, 1999.

Zdzisław Kosiński (W. Brytania)